

Byłem w Polsce – 1

15 kwietnia 2018

Rondo! Wizytówka polskich dróg i ulic. Wygląda na to, że bez rond nie ma kołowego życia. Wygląda na to, że bez rond nie ma życia w ogóle! Są rozumiane i lubiane. W Kanadzie rzecz mało znana. My mamy nasze skrzyżowania z czterema stopami. Taka nasza narodowa specjalność.



W Polsce rond jest bez liku. Małe, z wysepkami, po których można przejechać, z pasmem ruchu idącym przez wysepkę na wprost, wielkie ze światłami, podwójne, potrójne itd., itd. Co najważniejsze – zdają egzamin na piątkę!

Na skrzyżowaniach kierowcy ruszają z kopyta! Zmiana świateł i jednocześnie pisk opon. Ma się wrażenie, że to start do jakiegoś niezapowiedzanego wyścigu. Dym z palących się opon, ryk silników na wysokich obrotach – wszystko po to, żeby 500 metrów dalej hamować przed następnymi światłami. Tak jak przy wielu okazjach czuje się w tym jakieś napięcie, może chęć przekonania kogoś o lepszym, szybszym aucie, może o odwadze, przebojowości... kto to wie?

Napięcie czuje się prawie wszędzie. Pieszy ma zawsze pierwszeństwo. Kierowcy zatrzymują się przed pasami nawet wówczas, gdy stojący na chodniku pieszy nie objawił żadnej

chęci przechodzenia. I są z tego dumni. To jest grzeczność, którą jakimś sposobem wypracowali, a teraz egzekwują z całą „surowością prawa”. Piesi też o tym wiedzą i za niezatrzymującymi się kierowcami lecą kalumnie z ust szkolnych dzieci, kobiet i naturalnie mężczyzn. Krótko mówiąc – bez wyjątku.

Motocykliści wykazują stalowe nerwy w czasie manewrowania pomiędzy dwoma pasmami ruchu. Trzeba przyznać, że są w tym dobrzy.

Na autostradach jest groźnie. Same drogi są świetne, ale jadący nimi kierowcy – szczególnie ci na lewym pasie – są krwiożerczo niebezpieczni. Zbyt wolny, czyli jadący poniżej 140 km na godzinę kierowca – jest bez żadnego miłosierdzia zmuszany do ustąpienia. Auto jadące z szybkością kuli karabinowej zbliża się do niego z taką agresją, jakby w grę wchodziła personalna wendeta. Mrugające nerwowo światła, wrzask klaksonu, a przede wszystkim gniewne najeżdżanie szarpie nerwy i wprowadza niesłychanie niebezpieczne sytuacje. Prędkości dochodzące do 200 km na godzinę nie są rzadkością. Tak jest na drogach szybkiego ruchu, ale nie tylko.

No więc napięcie. Nie umiem powiedzieć, jak to się dzieje, że czuje się je prawie na każdym kroku.

Któregoś ranka poszedłem do małego sklepiku kupić nową kartę do mojego telefonu. Ku mojemu zdziwieniu ta, którą kupiłem dzień wcześniej, wyczerpała się.

– Ciekawe – mówię do sprzedawczyni – wczoraj kupiłem kartę za 50 złotych, a dziś nie mam z niej nawet pięciu złotych...

– Musiał pan dużo gadać...

– Nie tak dużo, ale dzwoniłem za granicę – więc może dlatego?

– Nieee, jak pan dzwonił do Unii, to w żadnym razie...

– Dzwoniłem do Francji.

– Aaa – do Francji – to co innego! Wie pan – to brudasy! Tam nauczycielki pieprzą się z uczniami... Z nimi to nigdy nie wiadomo! Dobrze, że pan tylko pięć dych stracił!

– Co też pani mówi – co mają francuskie nauczycielki do mojego telefonu?!

– Eee tam panie, czasu nie mam, to jak – chce pan tę kartę czy nie?

Akurat w tym momencie wszedł starszy mężczyzna i dość bezceremonialnie wtrącił:

– Francuzi to palcami żarli, zanim nauczyliśmy ich jeść widelcem! Zdrajcy i pedały!

Sprzedawczyni poparła go z entuzjazmem.

Jakoś zupełnie niechcący znalazłem się nagle po przeciwnej stronie barykady. Sprzedawczyni i starszy mężczyzna przestali się mną zajmować.

Zaczynanie jakichkolwiek rozmów na tematy tzw. polityczne jest tak ryzykowne jak wejście do klatki z głodnymi tygrysami. Najlepiej unikać, ale czasem się nie da.

Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi, i parę razy zostałem boleśnie przekonany, że trzeba bardzo uważać.

Ciekawe, że wszyscy używają „brzydkich” słów i wcale się tym nie krępują. Za „moich czasów” wykropkowywano nawet niewinne dziś słowo d... ale to już bardzo odległa przeszłość.

Jedzenie jest świetne. Wszędzie, gdzie byłem, było smacznie. Nie ma jak polskie żarcie! Schabowy z zasmażaną kapustą i kartoflami, tatarak z żółtkiem, a do tego pięćdziesiąteczka (a może nawet seteczka) wyborowej, gołąbki, pierogi w pierogarniach... Byliśmy na warszawskiej Starówce w „Pysznych Pierogach” na Freta. Kelnerki jak małowanie. Wszystkie znały angielski, umiały zachwalić, doradzić, delikatnie skusić,

podpowiedzieć... Jednym słowem, sama radość. Do pierożków można zamówić cztery kieliszki wódki podawane w rzędzie na małej deseczce. Nie mogłem od nich oderwać oczu, ale „byłem wozem”, więc nie dla psa kiełbasa. Swego czasu tak się mówiło: Nie piję, bo „jestem wozem” albo „furą”. Powiedzenie prawie zapomniane i chyba raczej – jak się teraz mówi – obciachowe! Słowo „obciachowe” można czasami (chyba) wymienić na „wiocha”, ale co do tego to nie jestem pewien. Trzeba uważać. Rozmawiałem z młodym człowiekiem, który w moim rozumieniu powiedział mniej więcej tak:

– Trzeba uważać, bo potem będzie dziwka!

Zupełnie nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale dość szybko wytłumaczono mi, że nie chodzi o prostytutkę, a ja jestem głuchy i nie wiem, co się do mnie mówi.

Zdanie brzmiało tak:

– Trzeba uważać, bo potem będzie zdziwko!

„Zdziwko”, czyli zdziwienie, a nie dziwka!

* * *

W ciągu minionego roku byłem w Polsce pięć razy. Za każdym razem parę tygodni. Dziwna rzecz – bardzo słabo rozumiałem szybko mówiących młodych ludzi. I to – broń Boże – nie dlatego, że „w ziemi dalekiej stężał język mój i związały się wargi moje”! Nic z tych rzeczy! Po prostu nie mogłem ich zrozumieć. Mówili, nie otwierając prawie ust, niezmiernie szybko i niezrozumiale. Moja Żona skwitowała to tym, że jestem stary i głuchy. Na szczęście rozumiała ich lepiej, więc „zatrudniłem” ją na stanowisku tłumacza. Odtąd, gdy ktoś coś do mnie mówił, zwracałem ku Żonie pytający wzrok, a Ona z podziwu godną cierpliwością (oraz z pobłażliwym uśmiechem) tłumaczyła mi, o co chodzi.

Na stacjach benzynowych spotykałem się z sympatycznym

pytaniem:

– Paragonik czy fakturka?

Zaraz potem – gdy podawałem kartę – kolejne:

– Zbliżeniowa?

Najpierw wpadałem w małą panickę, ale tylko na chwilę, bo Żona wyjaśniała co i jak.

Po tych „paragonikach” pytano tak:

– Batonik, kanapka, czekoladowy lizak, płyn do mycia szyb...???

Fantastyczne! Byłem zachwycony! To jest właściwe podejście do klienta – entuzjazmowałem się, wracając do samochodu.

No i alkohole na stacjach! To było dla mnie po prostu fenomenalne! Scotch (i to dobry!), koniaki, wódki, likiery, milion gatunków piwa, a do tego papierosy odkryte (nie tak jak w Ontario... ostatecznie czego tu się wstydzić?) – jednym słowem, żyć nie umierać!

Nie widziałem pijaków. Nie tak jak kiedyś. Myślę, że pije się inaczej, no ale może się mylę – ostatecznie akurat na ten temat każdy ma swoją opinię. W sytuacji, gdy alkohol dostępny jest wszędzie i można go kupić 24/7, brak zataczających się i wymiotujących na ulicy pijaków jest miłym zaskoczeniem. Może pije się „po cichutku” w zaciszach domowych, a nie tak jak kiedyś, kiedy to wychodzący z knajpy pijak musiał ryczeć jak zraniony tur, wyć „Góralu, czy ci nie żal”, a potem uwalić się gdzieś pod murem i przechrapać do rana!

Jeśli chodzi o knajpy czy raczej restauracje, to byliśmy tu i ówdzie, bo cały czas miałem jakieś zachciewajki. We wrześniu trafiliśmy na otwarcie Hali Gwardii! Targ z żywnością, restauracje, bary, wino, grzyby, sery i wędliny... Coś jak Mercado San Miguel w Madrycie, gdzie byliśmy parę tygodni wcześniej.

Hala Gwardii i wiszące na ścianach zdjęcia dawnych sław bokserkich przywołały tyle wspomnień, że omal się nie popłakałem. Bywałem tu przecież tyle razy! W 1965 byłem tu na pokazowym meczu, który rozegrali polscy koszykarze z amerykańskim zespołem „All Stars”. Amerykanie przyjechali z takimi sławami, jak Bill Russell, Oscar Robertson, Bob Pettit, Bob Cousy i wielu innych. Spotkanie było szeroko zapowiadane i nastroje wśród warszawskich kibiców wrzały. Żeby dostać na nie bilet, stałem przez parę godzin w kolejce, która była „matką wszystkich kolejek” tak ze względu na długość, jak i gęstość! Staliśmy ściśnięci, prawie bez tchu, ale pilnujący swoich miejsc, jak lwice małych. Mimo tego krwawego poświęcenia może bym i nawet nie dostał się do kasy, gdyby nie mój przyjaciel Antek Sobótka, który zorganizował całą sieć ochrony kolejki i na spółkę z miejscowym „królewiatkiem” warszawskiej żulii trzymał porządek. Milicji jakoś nie było widać. Namiętnie zbierałem wtedy autografy. Jakimś cudem udało mi się dostać do szatni i wziąć autograf od paru zawodników – w tym od Russella. Byłem z tego dumny jak paw, a autograf stał się przedmiotem zazdrości wielu moich kolegów.

Potem, gdy boksowałem trochę w KKS Polonia, zdarzyło mi się też być w Hali Gwardii. Także na „Szabli Wołodyjowskiego”, różnych zawodach, meczach i turniejach. Trudno zliczyć. Krótko mówiąc, po wejściu do tego starego, a dziś tak odnowionego miejsca poczułem lekkie ściśnięcie krtani... Boże – ile to już lat?!

A market był imponujący!

Zaraz potem zachciało mi się smażonych rydów, więc po zasięgnięciu języka (w Google) i paru telefonach pojechaliśmy na Mokotów do małej, ale przytulnej restauracyjki „Zielnik” na Odyńca tuż koło osławionego parku Dreszera.

Chodziłem do szkoły na Mokotowie – konkretnie na Naruszewicza – i wiele razy słyszałem o ponurej sławie tego parku. Chodzić tam wtedy po zmroku było proszeniem się jeśli nie o śmierć, to

w każdym razie o zmasakrowanie buzi kastetami. Park Dreszera to były słowa, które w swoim czasie – na przełomie lat 1950. i 1960., wywoływały gęsią skórę.

W „Zielniku” jadłem moje wymarzone rydze. Były dobre, ale nie takie jak te, które robiono w moim rodzinnym domu na Podkarpaciu. Tam moja babcia smażyła je wprost na kuchennej blasze. Ogień buzował, „z popielnika mrugała na mnie iskiereczka”, a babcia odwracała rydze, sypała sól, ale nie za dużo, bo gdyby więcej, to „chybaby musiała pójść z torbami!”. Babcia miała bardzo surowy stosunek do pieniądza. Pamiętam, jak pytałem ją kiedyś, dlaczego nie robi jakiegoś tam ciasta, odpowiedziała ze zgrozą w oczach: „Chybabym Boga w sercu nie miała! Wszystko to na strasznych jajach, strasznej śmietanie!...”.

Tak jakby te „straszne” jaja miały nas zrujnować!

W „Zielniku” moja Żona jadła znakomitą zupę dyniową. Była zachwycona!

Nie mogłem sobie przypomnieć tej restauracji z moich młodych lat, więc zapytałem kelnera, jak długo tu są. Odpowiedział, że baaardzo długo.

– Baaardzo?

– No bardzo – chyba od 2001 roku...

Przypomniałem sobie, że w gastronomii czas liczy się trochę inaczej.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Zdjęcie: [jarmoluk](#) (CC0)

Źródło: [Goniec.net](#)